Rok XXXIX | Niedziela 25 grudnia 1932 | Należytość pocztową opłacono ryczałtem. | Nr. 52

GAZETA KOŚCIELNA

TYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KOŚCIELNYM

Prenumerata: Całoroczna 24 zł., — kwartalna 6 zł., miesięczna 2 zł. Zagranicą 30 zł. Numer poj. 50 gr.
Cena ogłoszeń: Cała strona 110 zł., drobne po 60 gr. od wiersza petitu.

ORGAN STOWARZYSZEŃ KAPŁAŃSKICH W POLSCE.
Własność Tow. Wzajemnej Pomocy Kapłanów we Lwowie.
Redagują:
X. Dr. Aleksander Pechnik i X. Franciszek Błotnicki.

Redakcja i Administracja: ul. Zygmuntowska 4. Tel. 24-61.
Konto czekowe P. K. O. Warszawa Nr. 151.755.
Rękopisów nie zwraca się.

DUSZPASTERSTWO W CZASACH DZISIEJSZYCH [1]

Najobszerniejszem i najważniejszem polem pracy kapłańskiej, a tak ciężkiem do obrobienia w dzisiejszych czasach, — to duszpasterstwo. Nie wszyscy je jednako oceniamy i rozumiemy znaczenie jego. — Zwykle łudzimy się i pozór tylko bierzemy za rzeczywistość i do tego dochodzi, że z pewnem lekceważeniem zbywa się często ten tak odpowiedzialny i święty obowiązek, przez Boga samego na nas włożony, — że jesteśmy nieraz raczej najemnikami albo jakby urzędnikami tylko, a nie duszpasterzami we właściwem tego słowa znaczeniu. Nic więc dziwnego, że zło się pleni na świecie, że *kąkol* coraz bardziej zachwaszcza *pszenicę* i rozrasta się groźnie.

W tej tedy sprawie, dotyczącej duszpasterstwa w dzisiejszych czasach, ośmielam się niniejszem głos zabrać, aczkolwiek dobrze rozumiem, że to rzecz trudna i ponad moje zdolności, że jej więc w należyty sposób nie przedstawię. Dlatego jednak głównie piszę i starać się będę tylko pewien ogólny pogląd dać na tę ważną sprawę duszpasterstwa, aby innych zdolniejszych ode mnie i więcej mających w tym względzie doświadczenia, pobudzić do żywszego zainteresowania się duszpasterskiemi sprawami i do pisania w tej dziedzinie naszej pracy, którą uważam zarazem za *fundament akcji katolickiej* i jej ostoję.

Chcę zatem wskazać najpierw na *trudności* i *przeszkody*, napotykane obecnie w duszpasterstwie, z których jedne nazwę trudnościami *ogólnej natury*, a inne *lokalnemi;* — następnie starać się będę dać pogląd teoretyczny na ważność pracy duszpasterskiej i wreszcie przedstawię *kapłana-duszpasterza według Serca Jezusowego.*

I. *a)* — Trudności i przeszkody *ogólnej natury* w pracy duszpasterskiej. Do takich należy najpierw **duch czasu,** bezbożnością zatruty. Żyjemy w czasach prawie powszechnego zaniku bogobojności, upadku moralnego, zepsucia wielkiego w narodzie. Ci zaś, którzy mają wpływ pewien na kształtowanie się życia i stosunków w Ojczyźnie naszej, wpływ na wychowane, — przeważnie *nie liczą się wcale z prawami Stwórcy* i Pana naszego, — i albo są obojętni na sprawy religijne, uważając je za rzecz sumienia każdego osobnika, za rzecz małej wagi, — albo świadomie i celowo zabiegają i chcą dokonać zamachu na Królestwo Boże na ziemi naszej, przepojonej krwią męczenników w obronie Wiary św. przelaną, aby na miejsce kultu prawdziwego Boga, wprowadzić kult zła, przemoc i walkę z Bogiem. Właśnie to dziwne *zaślepienie* z jednej strony, że nie widzi się bezczelnej i chytrej roboty wrogów Wiary św. i Kościoła katol. w Polsce, — tej *„dechrystjanizacji na raty"* — a z drugiej strony *mała znajomość prawd wiary,* brak zrozumienia swoich obowiązków katolickich, *pogańskie zapatrywanie na życie, przewaga dawana zmysłom, nasza swojska lekkomyślność narodowa, słaba wiara i obojętność religijna,*—wszystko to trwogą przejmuje każdego myślącego poważnie i kochającego swą Ojczyznę Polaka-katolika, a więcej jeszcze kapłana. Dalszą przeszkodą ogólnej natury, to *wewnętrzna niezgoda,* osobliwy *nastrój duszy ludu naszego,* w której coś wrze, — *gnębi ten lud jakieś poczucie krzywdy i niesprawiedliwości,* — a zarazem stara jego choroba duchowa: *pożądliwość...,* — „pożądliwość oczu", — „pożądliwość ciała" i *pycha* osobliwsza teraz po wojnie. Do tego wszystkiego dołącza się *bieda powszechna,* t. j. warcholstwem narodowem i nieuczciwą polityką spowodowany *powszechny kryzys* materjalny, — *finansowo-gospodarczy.*

b) Trudności lokalne są bardzo różnorodne. Jedne pochodzą ze strony parafjan, — to owo stałe *uprzedzenie,* oddawna po niektórych parafjach pokutujące, głównie u mędrkujących jednostek, które to — zwykle marne indywidua — lubią patrzeć na duszpasterza zawsze przez czarne jakieś swoje okulary, lubią zawsze wszystko krytykować, ze wszystkiego niezadowoleni, zazdroszczą przytem księdzu wszystkiego — i oni to sieją zwykle zgorszenia i kąkol zła wszelkiego w parafji, który biorą z różnych przewrotnych krajowych i zagranicznych, głównie amerykańskich, piśmideł w rodzaju „Ameryka-Echo", — „Chłopski Sztandar", — „Przyjaciel Ludu" i tp. — Tu też zaliczyć należy różnych *emigrantów,* — robotników sezonowych, — którzy przebywając zagranicą, n. p. we Francji, na robotach „wykształcili" się tam na mędrkujących, szerzących w parafji zgorszenie, bezbożników. Dalszą trudnością duszp. lokalną jest *zarozumiałość i przeczulona duma*

[1] Niektóre myśli, a nawet słowa i zdania tego artykułu ośmieliłem się wziąć z „Głosu Kapł." z artyk. p. t. „In omnibus labora", czerwiec z r. *1929.*

osób bogatych (raczej względnie bogatych), a często — i nawet przeważnie — mało inteligentnych, oraz *miłość własna osób ambitnych,* zwykle chcących uchodzić za dobrych, uczciwych i pobożnych. Dla takich nieraz jedno niebaczne słowo, które wypowie duszpasterz w chwili zdenerwowania lub złego humoru, — samo nieraz wyróżnienie kogoś innego bez złej myśli zupełnie, — zwrócenie może uwagi spokojne, czasem nawet żartobliwe, w najlepszej wierze — już jest dla nich obrazą; stąd dąsy, wygadywanie i chłód, nieraz złośliwe podejrzywania, a potem nawet tacy porozumiewają się z otwartymi wrogami duszpasterza i podburzają ich nawet oszustwami na niego — zawsze bowiem albo coś znajdą albo wymyślą — zwykle najpierw wystarcza im prosta plotka a następnie w chorobliwej imaginacji swojej umieją wiele dodać urozmaiceń — i dalej ze skargą na swego duszpasterza do wyższej Władzy duchownej; — zwykle są to rzeczy błahe, albo i oszczerstwa, podyktowane nienawiścią do X. proboszcza, bo im się nie podoba, „skublikował“ ich lub tp. Zwykle atoli wszystko to jest wodą na młyn szatański. — Inne trudności w duszpasterskiej pracy to *nałogi* pewne w parafji zakorzenione. Nie wspominam już o pijaństwie, — bo zdaje mi się, że coraz więcej ten nałóg zanika, — chociaż wypadków upicia się przy różnych okazjach nie brakuje.

Zwrócę dalej uwagę na osobliwie teraz *grasujące grzechy* przeciw przykazaniu *6* i *9*, i nietylko mam na myśli różne tego rodzaju grzechy — ale nawet wprost zbrodnie, — tajne, ale nawet i jawne życie w nieprawych stosunkach. — Tu też zaliczyć należy *domy schadzek* nocnych, — *włóczenie* się powszechne w nocy i nieraz śpiewy i orgje różne starszej młodzieży albo nawet i podrostków, częste przedstawienia amatorskie, festyny, zabawy taneczne, kąpiele, jarmarki i t. d. — Następnie książki i pisma różne antyreligijne i niemoralne, heretyckie. — Gorsza jeszcze sprawa, jeśli w parafji założyli swoje gniazdo *sekciarze*, bo oni zgorszenie mogą szerzyć w całej okolicy, — swemi mowami i pismami podkopywać wiarę i utrudniać duszpasterzowi pracę — a słabych we wierze i czujących jaką urazę do X. proboszcza łatwo mogą zyskać dla swych heretyckich wierzeń. — Trzeba jeszcze zaliczyć do tego rodzaju apostołów szatańskich różnych *włóczących się niby bezrobotnych,* agitatorów bezbożności i niemoralności i tp. „szerzycieli oświaty“. — Wyliczając te różne przeszkody i trudności, jakie trzeba mieć na oku przy sprawowaniu pracy duszpasterskiej, mam na myśli *duszpasterstwo w parafjach wiejskich,* — bo w miastach i w centrach fabrycznych jest tych trudności bezporównania więcej. — *c)* Ale jest wreszcie jeszcze inny bardzo ważny rodzaj trudności i przeszkód nie dozwalający proboszczowi pracować owocnie na niwie duszpasterskiej, a jest nim *brak roztropności* z naszej strony i *nieodpowiednie* względnie *małe przygotowanie* do takiej ważnej pracy, brak nam do niej *zdolności potrzebnych,* i nadto *ułomności* naszej słabej i skażonej natury i *wady* charakteru.

(C. d. n.)

Chronów. *X. Jan Chmiel,* duszpasterz.

Ut veritas pateat...

„Wszelka mowa Boża ognista,
tarczą jest mającym nadzieję w Nim.
Nie dodawaj nic do słów Jego,
aby cię nie przekonał i nie znalazł kłamcą“.
(Księga Przysłów, 30, 5—6).

(Dokończenie).

Ale zajmijmy się drugą stroną naszego tematu.

Godzi się, czy się nie godzi ze stanowiska moralności stosować w małżeństwie celem unikania potomstwa metodę perjodycznej wstrzemięźliwości, ograniczając obcowanie małżeńskie do *tempus ageneseos?* Czy należy ten sposób małżonkom, nie chcącym mieć (czy to w pewnym czasie, czy to wogóle) potomstwa, zalecać?

W poprzednim artykule wyraziłem w tym względzie pewną rezerwę i mógłbym się powołać na szereg powag, a nie na jedną. Właściwie jednak nie opowiedziałem się wprost przeciwko metodzie Ogino-Knaus-Smulders. Jeśli atoli chodzi o „siłę“ argumentacji, to jedno tylko jest jasne, że wobec dzisiejszego ducha łatwiej bronić rzeczonej metody, niż ją oddalać: obrona bowiem idzie za namiętnościami, a oddalanie — przeciw namiętnościom.

Nie wiem, czy jest to ta sama publikacja, o której wspomniał X. Bogdanowicz, ale właśnie ukazała się w Poznaniu broszura dra Aleksandra Zajdlicza o odkryciu Ogino-Knaus'a[1]). Nie czytałem jej jeszcze, więc nie mogę porównać jej z książką Smuldersa. Ale zapewne niema w niej nic ponad to, co jest w „Periodische Enthaltung in der Ehe“. Że zaś i odnośne tabelki zostały dodane, można oczekiwać, że wspomniana metoda przyjmie się na szeroką skalę także u nas. Stanie się wtedy życzeniu Czcig. Autora zadość.

Sprawa ta jednak nie jest tak jasna... Fakt, że odnośne publikacje mają „imprimatur“, nie rozstrzyga jeszcze sprawy definitywnie. Wprawdzie propagatorzy „odkryć“ Ogino-Knaus'a są jak najlepszej myśli, ale to jeszcze nie dowód, że te „odkrycia epokowe“ można porównywać z odkryciami Galileusza i Kopernika...

Najpierw same obliczenia czasu perjodycznej niepłodności nie są przecież pewne.

Słusznie pisze jeden z ginekologów niemieckich: „Smulders zbyt sobie rzecz ułatwia, gdy swoje odkrycia czasu wyłącznie na Ogino i Knaus'ie opiera tak, jakby już była rozwiązana ostatnia wątpliwość co do trudnych i zawiłych zależności między ewulacją i poczęciem, jakby nie było żadnych różnic w występowaniu i znikaniu owulacji, żadnej możliwości współdziałania dotąd nieznanych i przeoczonych czynników, żadnej możliwości zapłodnienia tuż po menstruacji; jak gdyby już ostatnie słowo było powiedziane odnośnie do czasu trwania plenników (nasienia) i nie był do pomyślenia żaden wyjątek w poszczególnych warunkach“[2]). A inny poważny badacz, moralista, stwierdza: „Smulders w swej pełnej temperamentu książce umiał nowe obliczenia terminów tak przedstawić jako wypróbo-

[1]) Dr. Aleksander Zajdlicz. Odkrycie Dr. Ogino etc. Poznań 1932. W 8-ce, stron 30.

[2]) Dr. Niedermeyer (z Görlitz), „Zur Frage d. period. Enthaltung in der Ehe“ — w „Pastor Bonus“, 3 Heft 1932, str. 214. Zdarza się ok. 49% poczęć tuż po menstruacji (Schröder).

wane i ustalone, że pod wrażeniem jego błogiej nadziei jest się prawie kuszonym do wierzenia w przełom w historji katolickiego życia małżeńskiego i katolickiej pastoralnej“...[1])

Ale przypuśćmy, że istotnie sposób oznaczania czasu perjodycznej niepłodności naukowo został ustalony. Wtedy nabiera specjalnej wagi kwestja dozwoloności tej metody. I tu właśnie szkopuł. Nie od dziś właściwie katolickim małżonkom, chcącym uniknąć zapłodnienia, wskazywać się zwykło na czas bezpłodności u kobiety — i przyjęło się to w teologji moralnej jako *licitum*. Ale gdy dziś praktykę tę wysuwa się propagandowo jako uznany sposób, słusznie nasuwają się wątpliwości. To obchodzenie prawa naturalnego rygoryści nasuwają poprostu „moralnością łobuzów“ („Spitzbubenmoral“). To może zbyt ostre; ale w każdym razie lepiej jest nie angażować się zbytnio w propagowaniu tej „chytrej moralności“, choćby się racje jej przyznawało. Niedawno np. ukazała się w tym względzie przestroga w urzędowem piśmie archidiecezji Monachjum-Freising, która zaleca zachowanie rezerwy, jako że „odnośne zagadnienie tak biologicznie jak i medycznie nie jest jeszcze dostatecznie wyjaśnione i że wtedy dopiero będzie można w tej sprawie zająć odpowiednie stanowisko, gdy Władza kościelna wyda o tem rozstrzygające orzeczenie“[2]).

Zwolennicy metody Ogino-Knaus m. in. chętnie powołują się na następujące słowa encykliki Piusa XI „Casti connubii“: „Neque contra naturae ordinem agere ii dicendi sunt coniuges, qui iure suo recta et naturali ratione utuntur, etsi ob naturales sive temporis sive quorundam defectuum causas nova inde vita oriri non possit“ (n. 60). Słowa te mają wyraźnie potwierdzać dozwoloność metody, o którą chodzi. Czy tak jest naprawdę? Pewnie, że nie grzeszą małżonkowie, obcując ze sobą mimo niemożliwości poczęcia (np. w okresie karmienia niemowlęcia przez żonę, po zajściu w ciążę — i tak samo w czasie *ageneseos* perjodycznej). Czy jednak z takąż samą pewnością można twierdzić, że nie jest także „*contra naturae ordinem*“, gdy mają stosunek n i e m i m o, ale właśnie d l a t e g o, że jest „czas niepłodności“? Wszak to wewnętrzne nastawienie dużo znaczy.

W niebezpieczeństwie takiego nastawienia tkwi pierwszorzędna racja krytycyzmu w stosunku do „odkryć“, będących w mowie. Tu bowiem musimy sobie jeszcze powiedzieć: „Jak nie wiesz, która jest droga ducha i jak się zrastają kości w żywocie brzemiennej, tak nie znasz *(relative ad hoc)* spraw Boga, który jest twórcą wszystkiego“ (Eccl. 11, 5). Dlatego „Nie mów nic nierozmyślnie i niech nie będzie serce twe prędkie do wymówienia słowa przed Bogiem. Bóg bowiem na niebie, a ty na ziemi; przeto niech będzie słów twoich mało“ (Eccl. 5, 1).

Daruję sobie więc dalsze polemizowanie z wywodami Czcig. X. Bogdanowicza. Nie moją też jest rzeczą d e f i n i t y w n i e rozstrzygać, która strona ma słuszność. *Quaestio disputabilis:* zatem wolno mówić „tak“ — wolno mówić „nie“: w każdym razie wskazana ostrożność. Wtedy dopiero prawda stanie się jasną — *veritas patebit* — gdy Władza kościelna oficjalne wyda orzeczenie o tej sprawie.

Jeśli zaś chodzi o względy praktyczne, mogę Czcig. Autora szczerze zapewnić, iż te rzeczy, o których on mówi przy końcu swego artykułu (zastraszająca liczba poronień, nędza suterenowa i t. d.). są mi znane... Ale mimo to twierdzę to samo, co i przedtem: najpierw trzeba budzić ducha, by człowiek znękany wznosił z ufnością głowę ku Bogu, a na drugim dopiero planie mówić o (dozwolonych) sposobach paktowania z naturą...

Zbyt pochopne zaś propagowanie „*Konzip-Kalender*’ów“ niesie ze sobą jeszcze i to niebezpieczeństwo, że w umysłach bardziej kompromisowych może zatrzeć granicę między „naturalnym“ a przeciwnym naturze sposobem zapobiegania ciąży: zdarzyć się może, że i wierzący katolik od *Konzip-Kalender*’u przejdzie do... prezerwatywy, czy jakiegoś bardziej udoskonalonego środka zapobiegawczego. Tego zdania jest np. Boy-Żeleński — i trudno mu w tem nie przyznać racji.

Pomijam m. in., że propagowanie ze stanowiska katolickiego metody „perjodycznej wstrzemięźliwości“ może wpłynąć na większą swobodę pozamałżeńskich stosunków płciowych, i więcej możnaby uczynić zarzutów tej propagandzie. Ale myślę, że wystarczająco umotywowałem swój „przekąs“ w odniesieniu do niej. I dlatego poprzestaję na powyższych uwagach.

Bądź co bądź stosunek płciowy „naukowo“ ogołocony z właściwego sensu i celu, musi ze sobą wnosić świadomość czegoś poniżającego człowieka. Trudno go więc zalecać jako środek na zwalczanie „zastraszającej liczby poronień“ i „suterenowej nędzy“... Naiwnością też jest dopatrywać się w „odkryciach“ Ogino-Knaus’a *remedium* na obecne zło, świat gniotące. Jak nie pomogły zmaterjalizowanym Stanom Zjednoczonym Ameryki Pn. ograniczenie imigracji i wewnętrzna „racjonalizacja“ ani tyloryzm — i nie ustrzegły od kryzysu, tak i światu wogóle dziś nie pomogą żadne ograniczania urodzin i zimne kalkulacje w układaniu warunków życia, dopóki przebudowa społeczna nie usunie anomalij!

Toż chyba dziś jeszcze nie jest na świecie za ciasno: a jednak ileż ludzi nie może się pomieścić odpowiednio! Świat łaknie sprawiedliwości i miłości! Zatem wprowadzić w życie społeczeństw sprawiedliwość i miłość – a będzie można z pewnością patrzeć w przyszłość bez obawy przeludnienia!... *Simplex.*

[1]) Prof. Joseph Mayer, „Praktische Bedenken gegen die „natürliche“ Methode der Empfängnisverhütung“ — w „Theologie und Glaube“, 3 Heft, 1932, str. 296.

[2]) Por. „Schönere Zukunft“, nr. 8 (z 20 XI.) Jg. VIII (1932), str. 191.

Na wspólny front

Tegoroczny kurs Akcji Katolickiej w lwow. archidiecezji, który odbył się we Lwowie, był głośnem wołaniem do wielkiego dzieła odrodzenia jednostek i społeczeństwa całego przez akcję katolicką, był hasłem do czynu katolickiego. Kurs ten rzucił wiele nowych cennych myśli, a wyświetlił i pogłębił znane nawet u tych, którzy tą sprawą przedtem już bliżej byli zainteresowani. Należy ufać, że myśli te nie pozostaną tylko w sferze myśli, lecz przekształcą się w czyny. A doprawdy bardzo wielkie bogactwo myśli,

wskazówek, rad, opartych na wiedzy i doświadczeniach, dał nam kurs przez bardzo wysoki poziom referatów. Należałoby jak najprędzej ten obfity materjał podać wszystkim kapłanom, gdyż tylko delegaci dekanatów brali udział w kursie i garstka księży szczególnie interesujących się tą sprawą.

W niniejszym artykule nie mogę mówić o wszystkich tematach kursu i pragnę tylko zwrócić uwagę na zasadniczą myśl, którą w czasie kursu zaraz na początku a przy końcu po raz drugi bardzo silnie podkreślił w swych przemówieniach J. E. Najprz. nasz Arcypasterz: „Stworzyć wspólny front wśród kapłanów“.

Jeśli ma powstać wspólny front wśród społeczeństwa świeckiego dla odrodzenia życia katolickiego, stworzenia silnych zasad katolickich, spełniania czynów katolickich i wspólnej obrony przed wrogami Kościoła, to przedewszystkiem taki wspólny front musi powstać wśród kapłanów: „Jedna myśl i jedno serce“. Nie chcę być źle zrozumiany, nie chcę twierdzić, że wśród nas kapłanów niema zrozumienia tych rzeczy, że niema, broń Boże, jedności. Członkowie Kościoła katolickiego, a przed innymi kapłani są zjednoczeni, a wyrazem tej jedności jest łączność i posłuszeństwo Najprzew. XX. Biskupom i Namiestnikowi Chrystusowemu — i ta jedność jest silnym fundamentem, na którym mamy budować ten wspólny front dla akcji katolickiej.

Dla stworzenia wspólnego frontu dla akcji katolickiej trzeba wspólnej myśli, a dla stworzenia wspólnej myśli trzeba koniecznie wymiany myśli. — I tu znowu powołuję się na J. E. naszego Arcypasterza, który przy każdej sposobności liczniejszych zebrań kapłanów, czy to z okazji kursu duszpasterskiego, czy corocznych rekolekcyj kapłańskich, a ostatnio na kursie akcji katolickiej wyrażał gorące życzenie, by kapłani dla wymiany myśli, celem stworzenia wspólnej myśli jak najczęściej razem gromadzili się, bo tylko wtedy wspólna myśl stworzy wspólny czyn kapłanów a potem świeckich katolików. Nie będzie tej rozbieżności, która zdarzała się dotychczas w poczynaniach, zrodzonych nieraz z jak najszlachetniejszych pobudek, gdzie się wkładało tyle zapału, pracy i ofiar, a szło to często na marne, a w każdym razie wynik nie pozostawał w żadnym stosunku do włożonych wysiłków.

Jak ważną jest ta sprawa, dowodzą także „Zarządzenia Kongregacji Synodalnej“ (III. Stat. 16), które polecają, by zebrania dekanalne odbywały się raz na kwartał. A jaki cel tych zebrań? Czytamy tam:

„Zebrania dekanalne mają w naszych stosunkach osobliwsze znaczenie. Powinny bowiem stać się cementem, któryby łączył, wiązał ze sobą i umacniał konfratrów“ i t. d. Tematów dla tych zebrań będziemy mieli aż nadto wiele. Same tylko zarządzenia Kongregacji Synodalnej dają nam bardzo obfity i aktualny materjał do wspólnego omówienia i zastosowania go w praktyce. Przeciw zorganizowanemu dzisiaj wrogowi Kościoła katolickiego musi stanąć silnie zorganizowany katolicyzm tak w szeregach kapłanów, jakoteż świeckich katolików.

Sprawa to wielka i ważna, bo to sprawa Boża, a więc do dzieła — do czynów katolickich, na wspólny front! *X. J. F.*, uczestnik kursu.

Encyklika „Quadragesimo Anno“ i duszpasterstwo

(Ciąg dalszy.)

Oczekiwania te zawiodły, bo były oparte na fałszywem pojęciu kapitalizmu. Słowo to należy rozumieć dobrze, nie jednostronnie, należy je brać w znaczeniu, użytem w obu encyklikach *Rerum Novarum* i *Quadragesimo*. Tam kapitalizm oznacza taki porządek społeczny i gospodarczy, w którym na podstawie prawa własności prywatnej używa się kapitału do zbierania zysków, przyczem produkcja wykonuje się tak, że z jednej strony jest grupa (czy jednostki), posiadająca wszelkie środki pieniężne, z drugiej strony jest grupa (jednostki), dająca tylko swoją osobistą pracę. Pius XI stwierdza, że kapitał, jako taki, nie zasługuje na potępienie. Przewrotność i złość jego, mówi Papież, zaczyna się wtedy, gdy robotników podbija w zupełną zależność i niewolę, gdy przedsiębiorstwa kieruje jedynie według swoich praw, na swoją wyłączną korzyść, bez żadnego względu na dobro społeczne i sprawiedliwość społeczną. Tak myślący i tak działający kapitalizm jest godny potępienia, z takim trzeba walczyć. Takie postawienie sprawy kapitalizmu przez Piusa XI wskazuje, że źródło obecnego zła leży nie na polu ekonomicznem, ale w dziedzinie społeczno-politycznej. Trzeba znaleźć słuszną, właściwą zasadę gospodarczą, nowy porządek i system społeczny. Ten porządek połączyć ma obie grupy nie na podstawie tylko czysto formalnej, ale organicznie, na podstawie rzeczywistego równouprawnienia. Niedola czasów dzisiejszych objawia się więc nam przedewszystkiem jako problem ładu, systemu, porządku społecznego. Trzeba szukać dróg do przebudowy istniejącego porządku (czy nieporządku?), trzeba iść ku nowej organicznej budowie społeczeństwa. Encyklika rzuca wielkie linje nowego, korporatywnego ustroju. Zamiast klas, zwalczających się nawzajem, mają powstać korporacje, pomagające sobie i uzupełniające się nawzajem.

Takie postawienie sprawy przez encyklikę jest bardzo cenne i dla nauk społecznych i dla duszpasterstwa. Wielu katolików będzie musiało dopiero zdaleka dochodzić do takiego nastawienia wobec współczesnych problemów społecznych, jakie podaje Pius XI. Trzeba będzie wielu katolikom wyzbyć się ślepej wiary w takie fetysze, dotąd bałwochwalczo czczone także przez niektórych katolików, jak np. „wolna konkurencja“. O niej Papież mówi, że to jest podstawowy błąd indywidualistycznej nauki gospodarczej, błąd, z którego inne jej błędy pochodzą. Na miejsce wolnej konkurencji, czy obok niej wchodzi dzisiaj nowy fetysz, nietykalne tabu: potęga kapitału. Mówi się, że kapitał to w każdym razie potęga, że tę potęgę trzeba utrzymać, bo pod jej gruzami mogłoby znaleźć zagładę całe społeczeństwo. Te fetysze trzeba zwalić, a na ich miejsce wprowadzić inne siły, które gospodarstwo wezmą w karby ostrej i mądrej dyscypliny: społeczną sprawiedliwość i społeczną miłość. Tylko tak można będzie wyzwolić gospodarstwo z tej skorupy samouwielbienia i samolubstwa i samowoli raczej, niż samorządności, w której kurczowo tkwi i broni się dotąd. Trzeba raz wreszcie skończyć z tem, że gospodarstwo jakoby musi rządzić się tylko mechanicznemi prawami rynku handlowego. Gospodarstwo ma stać się problemem ducha i materji, nie tylko samej materji, jak było dotąd. Obudzenie

gospodarstwa do tego nowego życia jest zadaniem religji katolickiej, obudzenie tego ducha, pogłębienie go w sferach gospodarczych to zadanie wybitnie duszpasterskie, to wielka i nowa dziedzina duszpasterstwa społecznego. To pole nowe i tak wyraźnie nasze, duszpasterskie i katolickie, trzeba nam szybko zająć i gorliwie uprawiać!

Pracę tę trzeba będzie zacząć od uświadomienia ogółu zainteresowanych o właściwem pojęciu kapitału o i właściwem pojęciu prawa własności. Zagadnienie prawa własności z powodu pewnych niedomówień encykliki *Rerum Novarum,* jej nastawienie wobec ówczesnych problemów, pod wpływem błędnego wykładu jej zasad a także niezaprzeczalnie pod wpływem ewolucji socjalizmu zostało przez wielu katolików zagmatwane. Niektórzy spodziewali się, że encyklika przyniesie „nowe“ pojęcie prawa własności. Tymczasem Pius XI przyjmuje pojęcie własności od Leona XIII, tylko może silniej i dobitniej podkreśla i rozróżnia dwie rzeczy: prawo posiadania i używanie własności, charakter osobisty własności i społeczne obowiązki posiadania. Pius XI sam w encyklice uzasadnia potrzebę tych nowych podkreśleń i wyjaśnień katolickiego pojęcia prawa własności. Przez lat 40 rozwinął się i przybrał na sile kapitalizm liberalny i takie sprowadził niewłaściwe ułożenie się własności, że wobec niewielkiej liczby posiadających wiele, istnieje olbrzymia masa tych, którzy nie mają nic. Taki stan rzeczy można i nie tylko można, powinno się zmienić. Dobra ziemskie stworzone zostały dla wszystkich, tylko rozdzielone są niewłaściwie, z krzywdą pewnych klas i tu jest powód proletaryzacji robotników. Nowy porządek społeczny, proponowany przez Ojca św. — ustrój korporatywny — ma przyczynić się do sprawiedliwego podziału dóbr. Państwo zaś ma przeprowadzić w prawodawstwie takie prawa, by unormować należyte, godziwe używanie prawa własności na zasadzie społecznego charakteru własności. Co wykracza poza potrzeby osobiste i potrzeby stanu, należy się właściwie celom społecznym. Państwo może nawet zastrzec sobie, czy społeczeństwu, wyłączność posiadania pewnych dóbr ziemskich, które posiadane prywatnie, mogłyby być nadużywane lub nie spełniałyby swego zadania. Rzeczy te muszą być przeprowadzone bardzo starannie, a zawsze trzeba uważać, by państwo, zwalczając kapitalizm, samo nie wpadło w błędy kapitalizmu. Może wspomnienie o tem, że tak wiele państw i rządów ma nad sobą coś w rodzaju nadrządów w postaci wielkiego kapitału, że nie państwa i rządy decydują o najważniejszych sprawach narodów, może ten imperjalizm kapitału, wstrzyma państwo przed błędami kapitalizmu.

Imperjalizm kapitału doprowadził do niewoli państwa i do proletaryzacji ludu. Lud cierpi pod jarzmem ubóstwa i nędzy. Głównym współczynnikiem tej proletaryzacji jest bezwzględna niepewność życiowa, złączona z brakiem odpowiedzialności. Kapitał stworzył spółki anonimowe, bezosobiste. Pomiędzy pracującym a właścicielem rozerwał się ten bliski związek, jaki był dawniej, w średnich wiekach. Właściciele są nieznani robotnikom, nie znają swego przedsiębiorstwa, z którego czerpią zyski. Nad robotnikami postawili płatnych i także zależnych od siebie urzędników i ich rolę ograniczyli bardzo. Taką anonimowość współczesnych przedsiębiorstw, ułatwiającą wyzysk a utrudniającą szukanie odpowiedzialnych, potępia Ojciec św. Nowy proponowany przez encyklikę ustrój korporatywny ma zbliżyć wprost do siebie i tych, którzy pracują i tych, którzy posiadają, na zasadzie wspólnego zawodu. Tak te dwie grupy mają poznać się, poznać wzajemną zawisłość i odczuć lepiej odpowiedzialność wzajemną. Takie postawienie problemu załatwia i tę sprawę, na którą dzisiaj tak powszechnie słyszy się narzekanie: zbytnie pośrednictwa, które tylko podrażają i obciążają handel i przemysł. Ograniczenie imperjalizmu kapitalistycznego, sprowadzenie go do właściwych zadań, do właściwej roli przyczyni się do zmniejszenia nędzy wśród pracujących.

Głównym, zasadniczym nastrojem proletarjatu dzisiaj jest niepewność jutra, niepewność życia. Ta niepewność, męcząca robotnika i jego całą rodzinę, nie może być usunięta przez głoszenie cierpliwości, umartwienia, wytrwania i t. p. Gruntownie pomóc może tylko zabezpieczenie życia. Trzeba dać głodnym chleb. Papież domaga się więc zabezpieczenia życia robotników, stworzenia dla nich takich warunków płacy, wynagrodzenia, by mieli nie tylko na bieżące najkonieczniejsze potrzeby, ale także na zabezpieczenie przyszłości i powiększenie osobistego majątku. Tak encyklika wyraźnie idzie i przeciw kapitalizmowi, który centralizuje majątek, i przeciw socjalizmowi, który jest wrogiem posiadania. Encyklika usiłuje zwiększyć liczbę posiadających. Ilu robotników lepiejby zrozumiało, co mówi religja, czego naucza Chrystus, gdyby słyszeli, że Kościół jest także za tem, by zwiększyć liczbę posiadających! Znaczenie duszpasterskie takiego postawienia sprawy naprawy porządku społecznego wedle zasad Chrystusowych, ewangelicznych, z hasłem: odproletaryzowanie proletarjatu w imię Ewangelji, w całej rozciągłości zrozumieć zdoła tylko ten, kto z doświadczenia życiowego, bezpośredniego zna rolę proletaryzacji w bezbożnem i antyreligijnem nastawieniu mas robotniczych i włościańskich.

(Dok. nast.). *X. Michał Rękas.*

Etyka i alkohol

(Ciąg dalszy).

Alkoholizm wyrządza szkody nie tylko tym, którzy piją, ale i tym, którzy wcale nie używają alkoholu.

W zakresie moralności jednostki trzeźwe niejedno muszą wycierpieć, doznając na sobie skutków czynów niepoczytalnych alkoholików, lecz gorsze życie pod jednym dachem z alkoholową gromadą. Współżycie z pijącymi, kupującymi i sprzedającymi napoje alkoholowe, oraz codzienne stykanie się z na pół zwyrodniałymi potomkami alkoholików zmusza do oddychania atmosferą ich moralności, która nawet u najbardziej wyrobionych etycznie pozostawia swój nalot, bardzo trudny do starcia. Na nim narastają coraz nowe warstwy, aż wreszcie zjawia się plaga, z każdem stuleciem i każdym rokiem coraz bardziej groźna dla życia moralnego.

Nauka lekarska rozróżnia dwojakie zatrucie alkoholem: ostre i przewlekłe. Ostre — jest to jednorazowe zatrucie się alkoholem od stopnia najlżejszego odurzenia aż do utraty przytomności. Przewlekłe zatrucie zjawia się u tych, którzy stale pijąc alkohol, nigdy nie dają ustrojowi sposobności do oczyszczenia się, bo gdy jeszcze wczorajsza dawka alkoholu tkwi w ustroju, przychodzi do niego nowa, dzisiejsza. Prze-

wlekłe zatrucie objawia się licznemi zmianami prawie w każdym narządzie i nieubłaganie postępuje naprzód, doprowadzając ciało człowieka do zupełnej ruiny.

Po wiekowem oddziaływaniu alkoholizmu zjawiło się dzisiaj podobne przewlekłe, zbiorowe, alkoholowe zatrucie ducha.

Objawy tego zatrucia widzi się na każdym kroku, ale nie zawsze chce się zobaczyć ich pochodzenia. Objawy groźne na dzisiaj, a jeszcze groźniejsze na przyszłość! — Toć dzisiaj wszyscy stwierdzają niebywałe rozluźnienie obyczajów i zdziczenie moralne które w zawrotnem tempie zapędza ludzi do otchłani, gdzie już niema żadnych zasad moralnych, gdzie triumf święci samolubstwo, będące najwyższym nakazem i jedynym przewodnikiem etycznym dla dzisiejszego człowieka.

Wszak doszło już do tego, że jako zasadę prawa obowiązującego głosi się wolność zabijania człowieka w łonie matki, a rzesze wielkie słuchają i dają poklaski.

Dzisiaj przeraża jeszcze inny objaw zwyrodnienia duchowego, który jak najstraszliwsza zaraza opanowuje coraz szersze warstwy ludności, nie oszczędzając nawet dzieci. Jest nim powszechny zanik obrzydzenia wobec najohydniejszych zbrodni, a nawet dziwna manja babrania się we wszelkiej kryminalnej ohydzie. Około mężobójczyń, kazirodców, dręczycieli więźniów, pospolitych bandytów czy też włamywaczy rzeczywistych, lub kinowych, tworzą się całe partje obrońców, sympatyków i wielbicieli.

W życiu człowieka współczesnego niemałą rolę odgrywają brutalne rekordy sportowe, dla których godne podobieństwo znalazło się tylko na krwawych arenach rzymskich cyrków, w okresie krańcowego upadku obyczajów i nad miarę rozwielmożnionego rzymskiego pijaństwa. Podniety, jakie brano z alkoholu i rozpusty, tak spowszedniały, że już przestały dość silnie oddziaływać na zwyrodniałe dusze. Wtedy znaleziono inną „emocję“, mogącą jeszcze działać na stępione alkoholem nerwy. Wymyślono przypatrywanie się rozdzieraniu żywych ludzi przez dzikie zwierzęta i wzajemnemu mordowaniu się gladjatorów. Zdawało się, że po wymarciu pokolenia rzymskich alkoholików dusza ludzka odrodziła się i wyjaśniała, że już nigdy nie dojdzie do powrotu tak niesłychanego barbarzyństwa. Tymczasem nowym ludom, które ukazały się w kolejności wieków, znowu ten sam alkohol z roku na rok coraz bardziej tępił czucie, aż dzisiaj jesteśmy świadkami masowych upodobań tego samego pokroju, co w rzymskich cyrkach. Nie mówię o uczestnikach rekordów, tych nowoczesnych dobrowolnych gladjatorach, ale chodzi o nieprzeliczone tłumy widzów, pod którymi uginają się trybuny i od których czernieją całe kilometry przestrzeni, przyległych drogom, prowadzącym rekordy motocyklowe lub samochodowe. Nieprzebrane tłumy przychodzą tu bynajmniej nie po to, by widzieć rzecz tak nieciekawą jak szybko obracające się kółka, bo to samo mogą codziennie obserwować u przebiegających pociągów. Na pole szalonych wyścigów przychodzą też nie po to, by widzieć, kto pierwszy przybył do mety. Temu mogą się przypatrzyć tylko bardzo nieliczni widzowie pierwszych miejsc trybun. Tłumy widzów rekordów szukają tu zupełnie innej „emocji“. Sprowadza je nadzieja prawie pewnego napasienia oczu widokiem gladjatorów-zawodników, łamiących sobie kości i napatrzenia się, jak mózg ludzki wypływa z rozbitych czaszek i na to tylko czekają. Kroniki „wyczynów“ rekordowych pełne są wiadomości o połamaniu nóg, pogruchotaniu żeber, pękaniu czaszek, a przy kreśleniu takich notatek ani słowa protestu przeciw nowoczesnemu barbarzyństwu, którego prawie państwowe usankcjonowanie ma najfatalniejszy wpływ wychowawczy na młodzież. Powszechne dzisiaj upodobanie w przypatrywaniu się rekordom, przy których zawsze narażone jest życie ludzkie, a prawie zawsze przelewa się krew, staje się możliwe jedynie tylko dla nerwów ludzi, cierpiących na przewlekłe, alkoholowe zatrucie ducha. Człowiek, wychowany w atmosferze czystej etyki chrześcijańskiej, człowiek, u którego kolejne dziedziczenie nie doprowadziło wreszcie do zupełnego zaniku współczucia, nie mógłby znieść widoku nieszczęsnej ofiary namiętności, tarzającej się w krwawym pyle ulicy, a cóż dopiero umyślnie szukać sposobności, aby to zobaczyć! Widowiska rekordowe nowoczesnego cyrku rzymskiego, poczęte w psychice alkoholowego stępienia, mają moc zarazy wyjątkowo groźnej dla życia duchowego dzisiejszej ludzkości. Toć przecież kto jedną niedzielę przesiedział na krwawej arenie, gdzie z zapartym oddechem, z wypiekami na policzkach śledził każdy najmniejszy ruch i z najwyższem napięciem nerwów czekał, kiedy zobaczy człowieka, ginącego w jego oczach, ten na długie tygodnie staje się niezdolny do jakiejkolwiek nie przyziemnej myśli i subtelniejszych uczuć.

Objaw przewlekłego zatrucia ducha jest i w tem także, że prawie nikt nie chce widzieć całej rozciągłości zła alkoholizmu, ale co więcej, prawie wszyscy zamykają oczy i zasłaniają uszy przed usłyszeniem prawdy, jak natrętną muchę odpędzają słowa, które zwracają uwagę na zgubę, zagrażającą ze strony alkoholizmu, bo sobie nawet sprawy nie zdają, że ciągle są wsłuchani w hipnotyzujące echo etyki alkoholowej.

Przyczyny tych i wielu innych objawów stępienia moralnego zwykło się upatrywać w kinie i prasie brukowej, albo w jakiejś fantastycznej „psychozie powojennej“, byle tylko nie tam, gdzie ich prawdziwe źródło, ale kino nawet najwstrętniejsze i najbardziej ponura prasa, bez porównania młodsze niż alkoholizm, grają tylko uboczną rolę. Te czynniki żadną miarą nie mogłyby działać w społeczeństwie, gdyby im drogi nie utorował alkoholizm, gdyby im podkładu zamętu etycznego nie stworzyła długa alkoholowa ewolucja, z wieku na wiek i z roku na rok powoli przytępiająca poczucie etyczne i przygotowująca ludzi do zatracenia zmysłu obrzydzenia wobec wszelkiej ohydy. Ujemne działanie kina, prasy brukowej i innej propagandy, niezgodnej z zasadami etyki, byłoby zupełnie nieszkodliwe, gdyby nie trafiło na podatny grunt przewlekłego zatrucia ducha. To podłoże zbudowały wielostronne wpływy alkoholizmu, przez całe wieki niezmordowanie kropla po kropli spadające na dusze ludzkie z powszechnego szynku. On pierwszy dokonał tego, że ducha ludzkiego pchnął na kraj pochyłej, po której już łatwo ześlizgiwać się coraz niżej i czuć się dobrze.

Zwracając uwagę na niektóre czynniki, ze strony alkoholizmu zagrażające moralności społecznej i doprowadzające do coraz wyraźniejszego zwyrodnienia ducha, bynajmniej nie mam pretensji do całkowitego wyczerpania tematu, lecz zbierzmy tylko tutaj wymienione wpływy na duszę człowieka współcze-

śnego, a wystarczy, by mieć powód do bardzo poważnego zastanowienia się nad sprawą alkoholizmu.

Niewątpliwie istnieje wiele przyczyn, które niezależnie od alkoholizmu doprowadzają do obniżenia wymagań moralnych, objawiającego się w życiu codziennem, polityce, w stosunkach rodzinnych, w upodobaniach, modzie, teatrze, kinie, prasie i literaturze, lecz jakąkolwiek wagą wypadałoby obciążyć tamte inne czynniki, naczelny wpływ alkoholizmu pozostaje niewątpliwie pewny i groźny nad miarę.

O tem alkoholowem niebezpieczeństwie dla życia duchowego nie można mówić do pijaków, szynkarzy, ani do tych wszystkich samolubów, dla których nie istnieje nic po nad własne ja, żądne zadowalania swych codziennych zachceń. Nie dla nich to, bo nie dla ich oczu możność spostrzeżenia wyraźnie ukazujących się zjawisk. Nie dla nich nauki, nie dla nich kazania, nie dla nich wszystko, co można powiedzieć lub napisać w sprawie alkoholizmu. Podawać do wiadomości wyniki nowoczesnych badań sprawy alkoholizmu, zwracać uwagę na niebezpieczeństwo, zagrażające ludziom z jego strony i wołać o ratunek można tylko do ludzi trzeźwych i zdrowych na umyśle. Oni tylko mogą zrozumieć, że plaga alkoholizmu nie jest zewnętrzna, jak dżuma, cholera, lub szarańcza, niewiadomo skąd przychodząca, lecz jest zjawiskiem, mogącem zaistnieć jedynie tylko na skutek własnowolnego działania człowieka. Nawet klęska wojny nie jest tak ściśle zależna od woli ludzkiej, bo gdy jeden napada, drugi, choćby nie chciał, musi się bronić. Alkoholizm jest jedyną na świecie klęską, którą człowiek sam sobie stworzył, ale i sam, gdy będzie miał ku temu wolę, może usunąć. W walce z alkoholizmem nie trzeba się zmagać z żadnemi czynnikami zewnętrznemi, niezależnemi od woli ludzkiej, często trudnemi do zauważenia, więc odpada ta trudność, jaką spotykamy np. w walce z epidemją, zmuszeni do odszukiwania zarazków, broniących się swoją niewidocznością. Alkoholizm, ta wielka choroba społeczna, da się uleczyć, jak żadna inna, a skoro do leczenia jakiejkolwiek choroby nie wzywa się chorych, ale lekarzy, tak też i do leczenia alkoholizmu nie można powoływać alkoholików, ale jedynie tylko ludzi trzeźwych, z dobrą wolą. Oni tylko zrozumiawszy, o co chodzi, mogą przystąpić do leczenia zastarzałej choroby społecznej, rokującego wyniki ponad wszelką wątpliwość dodatnie. Dobre wyniki w walce z alkoholizmem są niewątpliwe dlatego, bo w całej działalności przeciwalkoholowej nie chodzi o nic innego, jak tylko o rzecz małą, a tak, jak żadna sprawa na świecie zależną tylko od woli człowieka, a mianowicie o to, aby wcale nie pić napojów alkoholowych.

Taka wstrzemięźliwość nagle świata nie przerodzi, ani jak maść cudowna głębokich ran jednem przyłożeniem nie wygoi, ale ta wstrzemięźliwość przez każdego dobrego człowieka podjęta, może dokonać cudu przeistoczenia oblicza dzisiejszego życia już przez okres jednego pokolenia. Ta wielka przemiana dokonać się może przez zastęp jednostek, a do zapoczątkowania jej są powołani wszyscy ludzie trzeźwi, bo wcale nie pić jest przecież prawdziwą drobnostką dla ludzi, pijących niekiedy i to bardzo mało. U nich chodzi jedynie o to, by zrobić tylko jeden krok naprzód.

Trzeźwa jednostka, trzeźwa rodzina, trzeźwy dom, w którym nikt nigdy nie dostanie ani piwa, ani wina, ani wódki, to niezawodnie skuteczny sposób stworzenia nowego życia i nowego zwyczaju, prowadzącego do oczyszczenia i odrodzenia duchowego, to też z bronią zupełnej wstrzemięźliwości niech staną do walki z alkoholizmem wszyscy rozumni ludzie.

Do walki i zwycięstwa nad alkoholizmem, skazującym duszę ludzką na zatracenie!

Mikołaj Skiba.

„Ostatnia chwila"

Artykuł XXIV Konkordatu przewiduje parcelację dóbr kościelnych. Sprawa ta już jest w toku. Urzędy ziemskie badają w tym celu spisy i wykazy parcel beneficjów i przesyłają do wyższej instancji. Dochodzą głosy, że już w przyszłym roku ma być ziemia beneficjów kościelnych prócz przewidzianej w Konkordacie zabrana do parcelacji i to bez odszkodowania pieniężnego, lecz wyrównana obligacjami. Ofiary fundatorów dla Kościoła katol. dlaczego mają przepáść z naszej winy?

Kościół to jedno ciało mistyczne; jeśli jeden członek tego ciała cierpi niedostatek, całe ciało odczuwa ból, więc obojętnie patrzeć na niedostatek parafij, czy instytucyj kościelnych, walczących z trudnościami materjalnemi, nie można, jeżeli łatwa jest pomoc.

A ileż takich probostw, ochronek, sierocińców, przytulisk, ileż posad organistowskich i służby kościelnej, żyjącej bez trwałej podstawy materjalnej, z dnia na dzień t. z. łataniną! A czy załatwić tych spraw teraz nie pora? Dziś czasy ciężkie, a za kilka dziesiątków lat będą jeszcze cięższe, grunta rozdrabnia się, zamożność ogólna spadnie jeszcze więcej.

Kto wtedy utrzyma kościół, księdza, względnie księży i służbę kościelną? Aby dać, trzeba mieć.

Parafjanie nie mają, więc nie dadzą.

Obecnie praca duszpasterska objąć musi masę nie jednolitą — jak dawniej — lecz zróżniczkowaną. Trzeba ją pozyskać dla kościoła przez różne organizacje, znane nam albo dopiero powstające. Tych organizacyj jest w parafji kilka. Czy sam jeden ksiądz podoła pracy dla parafji i tych organizacyj? Kto pracuje w nich, rozumie, że trzeba tam więcej księży, aniżeli na początku pracy w tych organizacjach nam się wydawało.

A więc trzeba na to być przygotowanym, aby tym księżom-społecznikom nie brakło chleba i jakich takich warunków bytowania.

Chociaż „nie samym chlebem człowiek żyje", trzeba ten chleb mieć, zabezpieczyć go sobie.

Ofiarodawca-fundator, dając mienie swe Kościołowi, dawał je w pierwszym rzędzie dla Kościoła katolickiego wogóle, a dopiero potem dla kościoła w X. czy Y., a więc będzie to zgodne z intencją ofiarodawcy, jeżeli ta ofiara zostanie przy Kościele dalej.

A zatem przystąpić do załatwienia tej może najpilniejszej sprawy.

Jeżeli parafja ma beneficjum mniejsze niż Konkordat przewiduje, może proboszcz poprosić swego sąsiada-konfratra, by ten ze swego beneficjum wielkiego odstąpił tyle, ile brakuje pierwszemu do normy przewidzianej Konkordatem.

Proboszcz, mający beneficjum większe, rozglądnie się w parafji i pomyśli, w której dzielnicy czy gminie rozległej parafji możnaby erygować nową parafję, by pracę duszpasterską ułatwić, sprowadzi zakonnice, założy ochronkę, freblówkę, zabezpieczy tym przyszłość, tworząc osobne dotacje podobnie jak i organistom i służbie kościelnej.

Komisje dekanalne czy diecezjalne mogłyby w kwestjach trudniejszych odegrać wielką rolę.

Chwila historyczna. Przespać jej nie można. Krytykujemy duchowieństwo hiszpańskie, że „pokpiło" sprawę. Czy my lepsi? Pokażemy!

Duszpasterz.

List polskiego misjonarza z południowych Indyj

Serdecznie dziękuję za tak bezinteresowne przesyłanie mi tu na daleką obczyznę „Gazety Kościelnej". Odżyły we mnie miłe wspomnienia lat dawniejszych, kiedy to z prawdziwą radością brałem zawsze do ręki tę gazetę i czytałem jej artykuły, wlewające w serce kapłana coraz to nowe siły do pracy duszpasterskiej. I obecnie stanowić ona będzie dla mnie skarbnicę pracy misyjnej wśród biednych półczarnych Hindusów. Wzamian obiecuję dzielić się od czasu do czasu z Szan. Czytelnikami „Gazety" wrażeniami z pola misyjnego. Niniejszą garść wiadomości przesyłam z pewnem opóźnieniem, bo praca na nowej placówce wytrąciła mi pióro z ręki, ale odtąd będę pilniejszy, jeśli P. Bóg pozwoli, w przesyłaniu choć krótkich artykułów.

W nrze 28 „Gazety" z 10 lipca r. b. ogłoszono bardzo piękny artykuł o trudnościach w nawracaniu Hindusów. Najważniejszym powodem braku nawróceń w Indjach jest w istocie, jak artykuł twierdzi, hinduizm wraz ze swym nacjonalizmem i tradycjonalizmem kastowym. Nie mogę sobie rościć prawa do wyrokowania w tej sprawie, bo zaledwie trzy lata pracuję wśród Hindusów, ale zaobserwowałem jeszcze jeden powód, który niemało utrudnia nawrócenia, a to brak przykładu ze strony katolików. Misjonarz opuszcza kraj ojczysty, wyrzeka się wszelkich wygód i jedzie z całym zapałem w nieznane pogańskie kraje, uczy się na gwałt języków tubylczych i po kilku miesiącach zaczyna pracować. Rozumie się, że pragnie nawróceń, bo zazwyczaj na terenie swej placówki posiada tylko około 1 proc. wiernych, reszta to poganie. W pierwszym, drugim roku wytęża wszelkie siły, by pozyskać te dusze dla nieba — i bez większych trudności udaje mu się dokonać kilkudziesięciu nawróceń (ja np. w pierwszych dwóch latach miałem ich 80) — ale potem powoli nawrócenia ustają, bo biedny misjonarz spostrzega, że jego katolicy ani źdźiebełkiem nie przyczyniają się do jego pracy misyjnej. I to jest smutne. Jabym powiedział, że nie tyle kastowość czy hinduizm stanowią przeszkodę w nawróceniach, ile właśnie brak zainteresowania się szerzeniem królestwa Chrystusowego u samych „synów światłości".

Wezmę konkretny przykład: Jedną z mych stacyj misyjnych jest tak zwany „Kowilur". Należy do niej około 1000 wiernych, rozrzuconych w pięciu wioskach, w których większość stanowią poganie, kościół nawet okalają lepianki w większości pogańskie. W jednej wiosce jest garść wiernych, szczycących się wyższą kastą t. zw. „vannier", a wiadomo, że i po nawróceniu zachowują te zwyczaje kastowe, co ma niby ułatwiać nawrócenia. Katolicy i poganie żyją obok siebie od setek lat, żenią się między sobą, rozumie się po otrzymaniu Chrztu św., jeśli jedna strona była pogańska, razem nieraz udają się na daleką pielgrzymkę do „Welanganni", miejsca odpustowego słynnego na całe południowe Indje z cudownego obrazu Matki Boskiej. Nie rzadko zdarza się, że poganie ślubują ochrzcić swe dzieci w Welanganni i ślubu dopełniają; a mimo wszystko prawdziwych nawróceń niema. Bo i jakże poganin może zrozumieć wyższość nauki Chrystusowej, jeśli widzi, że np. w trzech wioskach pomienionej stacji katolicy są podzieleni na dwie lub trzy partje i żrą się między sobą, jeśli w jednej wiosce katolicy słyną z pijaństwa, jeśli się oszukują i wyzyskują wzajemnie? Chrześcijanie tutejsi boją się Boga, ale Go nie kochają, garną się do kościoła, ale umieją tylko prosić o odwrócenie różnych doczesnych nieszczęść; może takie życie wystarczałoby gdzie indziej, gdzie niema pogan, ale tu nie wystarcza. Poganie urządzają w nocy procesje, by odstraszyć złe duchy, chrześcijanie czynią to samo, a przytem na przedzie procesji musi być zawsze św. Michał Archanioł, by odegnał szatana. Zabobony te same, co u pogan, te same leki, odczyniania, złorzeczenia, przekleństwa, ta sama obojętność w sprawie zbawienia duszy...

I jakże tu myśleć o nawróceniach? Może mi ktoś zarzuci, że sądzę za surowo, ale tak jest, choć jedno muszę dodać na korzyść Hindusów wogóle, że rozpusta wśród nich nie istnieje. Przyczyną takiego stanu rzeczy jest brak szkół. Według „status animarum", którego w ostatnich miesiącach dokonałem, wśród tutejszych katolików jest około 80 proc. analfabetów (!). Ponadto sekty protestanckie najrozmaitszych odcieni sieją zamieszanie pojęć, a mając dużo dolarów i funtów budują szkoły, szpitale i choć nie z tem poświęceniem pracują, co misjonarze katoliccy, wszakże łatwiej przemawiają do zmaterjalizowanej duszy Hindusa, niż my głosząc naukę Chrystusa o wieczności. Niedawno jeden duchowny protestancki przeszedł publicznie na hinduizm, głosząc, że wprawdzie nie uważa chrześcijaństwa za religję fałszywą, ale zostając Hindusem, może więcej dobrego zrobić dla tego biednego ludu (!). Do takiego wniosku dochodzą i inni protestanci. Gdy się tak popatrzę na te niezmierzone niwy Boże, dojrzałe do żniwa, to łza się kręci w oku i mimowoli wyrywa się z ust wołanie: Dlaczego, Panie, nie wskrzesisz tu pierwszych chrześcijan, których życiem była miłość ku Tobie i ku bliźnim, którzy nie bali się niczego prócz grzechu?! Ale taka jest widocznie wola Boża, byśmy byli apostołami miłości wśród dzisiejszego skłóconego świata. Pracuję obecnie nad zorganizowaniem Akcji katolickiej wśród mych parafjan, ale trudności są ogromne, przytem brak funduszów na szkoły ubezwładnia me wysiłki. Proszę gorąco o modlitwę, by mnie nie obaliły różne tutejsze kłopoty i rozczarowania. Innym razem napiszę coś weselszego z innych stacyj misyjnych.

Kończę, zasyłając najserdeczniejsze życzenia świąteczne Szanownej Redakcji „Gazety Kościelnej" oraz wszystkim Wielebnym Kapłanom i czytelnikom „Gazety".

Brat w Chrystusie

Jalarpet, 24.XI 1932. *X. Wł. Klimczyk.*

Pamięci X. Jana Korzonkiewicza

Kiedy przed dniami niewielu pod koniec obiadu w wielkim refektarzu Collegium Canisianum w Insbruku padły z katedry słowa: „Commendatur sacerdotum sacrificiis omniumque orationibus anima Rrmi D. Joannis Korzonkiewicz, Praelati dom. SS,. et canonici cathedralis Cracoviensis, qui die 24 Novembris h. a. pie in Domino obiit, et alumnus Collegii nostri

fuit a. 1899—1905“, na wszystkich Polaków-alumnów padł smutek głęboki, a tym z nich, którzy to szczęście mieli znać go bliżej, łza serdeczna w oku stanęła. Bo kochaliśmy go bardzo, jako że był jednym z tych starszych braci-kapłanów, którzy nas serdeczną i ojcowską opieką otaczali i starali się zrozumieć, co w duszach młodszej braci dzieje się dziś, gdy świat cały zdaje się głęboką i wewnętrzną przemianę przeżywać, przemianę, którą z konieczności i duchowieństwo przeżyć musi, jeżeli chce nadal dusze ludzkie prowadzić ku Panu i godnie spełnić swe szczytne posłannictwo.

Młodość, choć piękna i wzniosła w swym idealiźmie, nie ma jednakże tego doświadczenia życiowego, co starsi, i brak jej subjektywnego, spokojnego ocenienia wszystkiego „sub specie aeternitatis“. Duża zaś część starszych braci-kapłanów, często jakby skostniała w pewnych pojęciach i wyobrażeniach, zdaje się nie rozumieć tego, co dzieje się w młodej duszy kapłańskiej... a ich niechęć i krytyczne nastawienie do młodych „mędrków“ otwiera nieraz między nimi przepaść. Skutki bywają nieszczęsne. Albo w młodej duszy kapłańskiej, przy słabszym charakterze, wnet zagaśnie apostolski ogień idealizmu i upodobni się kapłan taki do owych urzędników kościelnych, traktujących swój zawód, jako źródło zarobkowania. Albo też idzie taki młody idealista naprzód sam przez życie, pozbawiony roztropnej, ojcowskiej, miłościwej opieki doświadczonego starszego brata-kapłana i... wpada w zasadzki tego świata. Dalszym etapem bywa wewnętrzne zgorżknienie młodych, a triumfujące starszych: „Oto wasze metody“... Konsekwencja tego: miast chwały Bożej i pożytku dusz w wielu wypadkach obniżenie aktywności młodego kapłana, a niekiedy niestety pierwszy krok do przepaści i stoczenia się w nią.

A jednak, gdyby kapłan ów młody napotkał w życiu serdecznego, doświadczonego przyjaciela w starszym kapłanie, swym przełożonym, czy kierowniku, któryby zrozumiał to gotowanie się w duszy jego i wczuł się w nie, któryby umiał w duchu miłości wielkiej skierować olbrzymie owo napięcie potencjalne w odpowiednie łożysko, to niejeden dramat, niejedna tragedja życiowa nie wyczerpałaby najcenniejszych sił ducha, lecz skierowałaby i ześrodkowała je ku większej chwale Bożej.

Jednym z tych, nie nazbyt licznych niestety, co z nami młodymi żyć i czuć umieją, był właśnie nieodżałowanej pamięci X. Jan Korzonkiewicz. W insbruckiem kolegjum wychowany, wyniósł on stamtąd ten zapał, którym to zbiorowisko pięciuset z górą teologów z całego świata płonęło wówczas i płonie do dziś dnia. Zapałowi temu pozostał wierny, aż do grobowej deski, jako członek związku naszego (PGV), który (jak mówi dyplom przyjęcia) „pro suo erga SS. Cor Jesu studio et animarum zelo in unione Eiusdem divinissimi Cordis exercendo... et pro desiderio continuandi vinculi caritatis erga suos quondam in Canisiano coalumnos, in hanc nostram Associationem admitti petierit“... Stałe z nami utrzymując stosunki, starał się właśnie być dla nas tym starszym bratem i ojcem, który chroni przed wszelkiemi, nieroztropnemi w nieopatrznym zapale wybrykami gorliwości, a kieruje zawsze tylko wyżej, wyżej... I choć choroba zwaliła go na łoże boleści, jego gorące i płomienne serce ojcowskie nie pozwoliło mu wypuścić pióra z ręki, lecz jeszcze ostatkami sił stara się młodych współbraci na wysoki pchnąć lot. Na trzy tygodnie przed śmiercią, dnia 1 listopada b. r., pisze do jednego z młodych kapłanów w Canisianum:

„Znam to wszystko, bo: nihil novi sub sole[1]). Zawsze tak było i będzie, że tak zwani Stürmer und Dränger będą sobie łebki krwawić o twarde łby „starych“. Dawniej w Insbrucku ktoś tamtych pierwszych nazwał Draufganger, a tych „starych“ — Bremser. Tego się jednak domaga życie, które nie może się rozwijać bez pewnych centrów napięć.

Dlatego śmiem radzić: nie przejmować się wszystkiem tak dalece, żeby skutkiem tego miały się aż targać postronki nerwów. Lepiej stanowczo powiedzieć sobie: piano, piano!

„Rozumiem ja wprawdzie, że łatwiej to sobie powiedzieć, aniżeli „na fleku“ wydzierżyć, gdy się widzi, jak świat się kłębi i prze gwałtownie ku czemuś, a „starzy“ każą się nie troszczyć o to, lecz zagłębiać się w kwestje i kwestyjki, dystynkcje i dystynkcyjki, jak gdyby nigdy nic[2]). Przyznam też, że między tym czasem, kiedy i ja „cierpiałem“ na to Draufgangertum, a dniem dzisiejszym, jest wielka różnica, mimo że jest temu „zaledwie“ 30 lat: wówczas owe powiewy nowych czasów i rzeczy były lekkim zefirkiem w porównaniu z tem, co się dzisiaj dzieje i co Was młodych musi tam aż ponosić i nie pozwala Wam usiedzieć spokojnie. Rozumiem to wszystko i przyznaję po części rację.

A jednak powtarzam: piano, piano! Bo najpierw jestem przekonany, że się świat przecież zmęczy i ustatkuje, i nastanie znowu cisza wielka bardzo, bo ludzie pojmą przecież, że nemo potest ponere fundamentum aliud nisi quod positum est. A następnie: ...wszystkie „metody“ i te „niespokojnych“ i te „starych“ wezmą — powiedzmy to echt po polsku — djabli, a zostanie jedna, niezawodna: gorące, serdeczne, osobiste, przyjacielskie umiłowanie ukrzyżowanego Pana naszego Jezusa Chrystusa. Kto tej łaski dostąpi, ten sobie wszędzie da radę, a kto nie będzie kochał Pana Jezusa, ten figę zrobi, choćby i posiadł wszystkie systemy nowoczesnej metody pracy duszpasterskiej, „ożywionej zdolnością psychologicznej introspekcji“, czy jak się to tam nazywa. Mnie od dość dawna wręcz „prześladuje“ zdanie Łk. 24, 52: „A oni wrócili się do Jeruzalem z weselem wielkiem“. Jak to? Weselili się, gdy Oblubieniec był wzięty od nich? — Tak, im „wlazł za skórę“ (proszę mi darować te profana verba, ale chciałem jeno dosadnie wyrazić to, co myślę) a tak Go pokochali, jak nikt nie kocha przyjaciela, narzeczonej, żony... Tak Go pokochali, że choćby im był powiedział: „Będziecie dla mnie kamienie tłuc“, toby byli odrze-

---

[1]) Jest to odpowiedź na list, w którym adresat pisał X. Korzonkiewiczowi o prądach, panujących ostatnio wśród młodzieży duchownej w Insbruku i o swych „doświadczeniach“ życiowych, duszpasterskich i innych w czasie ostatnich wakacyj, które mu wiele goryczy przyniosły. Ze zrozumiałych względów można tu tylko ogólną część listu przytoczyć. Przedstawia się nam w tym liście gorąca i szlachetna dusza X. K. znacznie lepiej, niżby to uczynić mogła jakakolwiek charakterystyka.

[2]) Mowa o studjum dogmatyki, której doktorandzi muszą w Insbruku słuchać, przez 12 godzin tygodniowo przez cztery lata i którą, zważywszy abstrakcyjno-spekulatywną metodę, uważają młodzi przynajmniej w połowie za stracony czas, bo bezproduktywny dla życia kapłańskiego. Ktoby chciał np. przekonać się, jak to wygląda, niech weźmie 635 stronicowy traktat O. Müllera „De SS. Trinitate“, który do tego stanowi tylko „Summa praelectionum“ jego i po sprawdzeniu osądzi. A jest to najbardziej interesujący i najlepszy z podręczników O. Müllera.

kli: „A czemuż nie? Albo Cię to nie miłujemy, Mistrzu i Panie nasz? Przecież Cię kochamy bardziej nad życie, nad skarby, nad wygody“... I dlatego to polazło „toto“, gdzie ich oczy poniosły: jeden wziął laskę i poszedł hen za góry i lasy i przepadł gdzieś w ostępach Armenji, drugi zabłądził aż do Indji, trzeci gdzieś po Achaji tłukł swoje kości, a inni jeszcze gdzie indziej się obijali, że ani wiedzieć dzisiaj, gdzie złożyli swoje kościska. A czemuż to tak? Bo Jego miłowali miłością wielką bardzo, której ni wody zgasić, ni nic zabić nie potrafiło. I ta miłość kazała im szukać dusz, które On miłował, boć to były Jego dusze, a co Jego, to oni także miłować musieli. A kiedy przyszło umierać, to wołali ze św. Andrzejem: Salve crux, suscipe discipulum eius, qui pependit in te, magister meus, Christus...

„I niech mi kto mówi, co chce: jeżeli nasze „metody wychowania nowoczesnego kleru“ zawiodą pod względem nauczenia nas t a k i e j miłości Pana Jezusa, to nie powiem o nich może: „Psunabudes“, ale powiem: „Mogłyby być lepsze“...

Proszę jednak nie posądzać mnie o to, jakobym z powodu takiego stanowiska był zwolennikiem jakichś tam metod zatabaczonych i przedpotopowych. Boże uchowaj! Pamiętam przecież, że św. Paweł powiedział: Omnia probate, quod bonum est, tenete, i... omnia omnibus factus sum; wiem też dzięki Bogu, że i w naszą miłość świat łatwiej uwierzy, jeżeli ją oprawimy w ramy i wytwornej kultury i postępu wszelakiego i nauki i nowoczesnych metod, nie wykluczając nawet psychoanalizy... i socjologji i organizacji i co tam jeszcze może być. Ale niech to wszystko będzie tylko formą, a treścią niech będzie właśnie ona, ta miłość Pana Jezusa, ale, powtarzam, nie ta, której pełno w naszych książeczkach do modlitwy i w podręcznikach adoracji i w aktach przed i po Komunji św., lecz ta, która spływa krwią gorącą i ramiona uzbraja do czynu, ta, którą się darzy tylko przyjaciela, brata, oblubienicę, a właściwie większa“.

Gorąca miłość ś. p. X. Korzonkiewicza znalazła zapewne dziś już swoją najwyższą nagrodę in visione beatifica. Dla nas pozostanie po nim zawsze świetlane wspomnienie Apostoła, ukochanego starszego opiekuna i ojca duchownego. Obyśmy młodzi we wszystkich starszych braciach kapłanach takich znaleźli przyjaciół, przełożonych, kierowników, jak w ś. p. Zmarłym, którego imię niech będzie błogosławione! [3]).

„Młody“.

Sprawy religijne

Kwestja szkolna w Anglji. X. arcybiskup w Liwerpolu, Mons. Downey, ocenił niedawno krytycznie w mowie, wygłoszonej w Bootle (koło Liwerpolu) system szkolny w Wielkiej Brytanji i zwrócił ponownie uwagę na zastrzeżenia, czynione przy zakładniu szkół dla dzieci katolickich. „Ktokolwiek zastanawia się — powiedział — nad stanem nauczania elementarnego i średniego w Królestwie Zjednoczonem, ma dużo powodów do niezadowolenia.

Obecnie wakuje w szkołach gminnych miljon miejsc. Czy to dowodzi dobrego przewidywania? Zmniejszanie się liczby urodzin i inne czynniki żywotne nie były uwzględnione przy kosztownej budowie szkół gminnych, a nadto obliczają, że w najbliższych dwóch latach zmniejszy się jeszcze liczba uczniów o mniej więcej 300 tysięcy.

Natomiast szkoły katolickie są nad miarę przepełnione, a nam przeszkadzają w zaradzeniu temu regulaminy, które mają mało co, albo i nic wspólnego z nauczaniem. W ostatnim czasie wezwano nas, żebyśmy stali się „corpus vile“ dla eksperymentów na rzecz skomplikowanych i kosztownych projektów reorganizacji, nie zatwierdzonych jeszcze przez parlament, a dla nas szkodliwych. Żądamy tylko tego, żeby nam pozwalano zaspokajać nasze skromne potrzeby, a zaręczamy, że jak dotąd, tak i w przyszłości, nauczanie nasze będzie dobre wydawało owoce.

Dalej zwrócił X. arcybiskup uwagę na fakt, że kiedy w szkołach, nie otrzymujących żadnych zasiłków (katolickich i innych prywatnych) wydaje się na każdego ucznia tylko 25 sterlingów rocznie — w szkołach gminnych kosztuje kształcenie każdego od 45 do 60 sterlingów; różnica ta nie wychodzi na korzyść edukacji, ale pochłania ją poprostu biurokracja urzędowa.

System obecny dąży do u s u n i ę c i a r o d z i c ó w o d w s z e l k i e g o w p ł y w u na nauczanie dzieci i może się zdarzyć, że pewnego dnia jakiś inspektor, doktor psychologji, będzie decydował o powołaniu dzieci szkolnych.

„Czas już“—tak zakończył X. arcybiskup — „żeby rodzice odzyskali swój autorytet i należne im kierownictwo. Oni znają lepiej swe dzieci, niż którykolwiek psycholog; znają otoczenie, w którem one żyją i jakie korzyści może im to otoczenie dać w życiu. Psychologja jest nauką piękną i pożyteczną, ale może dowiedzieć się czegoś i od rodziców, gdy chodzi o to, czego dzieci mają się uczyć. Potrzebna jest ścisła współpraca trzech powag, od których zależy nauczanie: rodziny, Kościoła i państwa.

Z AMERYKI. Dobroczynność katolicka w Chicago. Na zgromadzeniu rocznem Rady archidiecezjalnej niewiast katolickich w Chicago, na którem było obecnych około 2,500 osób, ogłosił X. kardynał arcybiskup Mundelein, że w ostatnich 15 latach instytucje katolickie w Chicago rozdały ubogim blisko d z i e s i ę ć m i l j o n ó w d o l a r ó w.

Oddawszy należne pochwały Tow. św. Wincentego à Paulo i zachęciwszy niewiasty archidiecezji do rozwijania coraz większej działalności w ich „Radzie“, stwierdził X. kardynał, że w dzisiejszych warunkach Kościół powinien czynić wszystko, co czynić może, aby strzec powierzonych mu spraw i przychodzić z pomocą słabym i ubogim. „W mieście tak ogromnem, jak to“ — powiedział — „w którem liczy się ubogich na dziesiątki, a nawet setki tysięcy, potrzebna jest dobroczynność na wielką skalę i należyta jej organizacja. W roku ubiegłym utworzyliśmy liczniejsze Towarzystwo św. Wincentego à Paulo niż kraj nasz kiedykolwiek widział i powołaliśmy pod sztandary miłosierdzia 3.500 mężczyzn, kwiat ludności dorosłej ze wszystkich parafij, żeby zanosili pomoc i pociechę, nie posiadającym środków do życia, ani chleba, ani dachu nad głową. Teraz ten zastęp św. Wincentego działa w całej pełni i zaproponowaliśmy, żeby go oddano do dyspozycji państwu w celu udzielania władzom pomocy we wspieraniu i leczeniu nędzarzy.

[3]) Tym, którzy pragnęliby się zainteresować bliżej tem, co się dzieje obecnie w duszach młodych, można polecić nast. dziełka: Emil F i e d l e r, Defensive oder Offensive, 3 tomiki (wyd. tamże), oraz Ernst T h r a s o l t, Dr. Carl Sonnen-Wiesbaden (Rauch). 1930/32, tegoż autora Der neue Mensch, schein, München (Kösel & Pustet) 1930.

W kraju, posiadającym tak bogate środki, jak nasz, państwo powinno mieć staranie o tych obywateli, którzy nie mają pracy i cierpią głód bez swojej winy. Pomocy tej powinno się udzielać z miłością, ale oględnie. Tego dzieła podjęliśmy się my katolicy i spodziewamy się, że oferta nasza będzie przyjęta, a gdy to się stanie, będziemy pomagali dobrym chęciom całej ludności. Potrzebujemy także pomocy niewiast naszych, niezbędna jest jednak i dobra organizacja.

Dlatego przyszedłem do was, niewiasty katolickie, po raz trzeci w tych trzech latach, aby wam dodać odwagi do waszych wysileń, dążących do utworzenia wielkiego związku kobiecego diecezjalnego pod sztandarem religji dla dzieła miłości, a dzieło to ma być trwałe. Wszystko zależy od ducha, w którym weźmiecie się do niego, od posłuszeństwa, które okazywać będziecie kierownikom waszych przedsięwzięć i od dobrej woli, z którą będziecie spełniały, cokolwiek wam będzie powierzone. Oby niewiasty katolickie w Chicago okazały światu wzór jedności, miłości wzajemnej, wierności Kościołowi świętemu i poświęcenia dla bliźnich, potrzebujących pomocy!“

Z Fryburga szwajcarskiego. Prezydent rządu nowicjuszem benedyktyńskim. Na posiedzeniu Rady państwa z 4-go listopada r. b. prezydent rządu p. Ernest Perrier złożył w ręce innych kolegów godność radcy państwa, zgłaszając równocześnie swoje postanowienie wstąpienia do zakonu.

Wiadomość ta wywołała żywe poruszenie i wiceprezydent p. Savoy wyraził w imieniu kraju głąbokie uznanie dla zasług wybitnego dostojnika i w imieniu rządu żal tegoż członków, że tracą kolegę tak drogiego i wysoko cenionego.

P. Perrier urodził się w r. 1881 we Fryburgu. Po świetnem ukończeniu nauk prawniczych w uniwersytecie w Lozanaie, pracował jako prawnik we Fryburgu. W r. 1911 zamianowano go prokuratorem generalnym tegoż kantonu, a w r. 1916 radcą państwa. Był dyrektorem policji, potem sprawiedliwości i kultury, a od r. 1927 nauczania publicznego. Jako deputowany był przewodniezącym szwajcarskiej partji konserwatywnej, a od niedawna prezydentem Rady narodowej. Mąż o szerokiej kulturze, dawał na wszystkich stanowiskach, które zajmował, wzór rozumnej działalności i prawości. Zajął się opracowaniem kodeksu karnego fryburskiego, popierał studja i instytucje naukowe. Skromny a bardzo czynny, zajmował na scenie politycznej stanowisko pierwszorzędne. Odznaczał się głęboką wiarą i niepospolitemi cnotami. I oto teraz, w 51-ym roku życia usunął się z życia politycznego, zrzekł się wszystkich honorów i urzędów, żeby służyć Bogu w zakonie Benedyktynów.

Z piśmiennictwa

Czesław Lechicki: W walce z demoralizacją. Tom I. — Miejsce Piastowe. Wydawnictwo Tow. św. Michała Archanioła. 1932. — W 8-ce str. 241.

W tomie tym, który właśnie się ukazał, zawarte są następujące rozdziały: I. Zgniła atmosfera; II. Wobec epidemji rozwodów: III. Prądy rozkładowe; IV. Propaganda bezwstydu w Niemczech; V. Dookoła pornografji; VI. Kwestja drażliwa.

Praca ta, której jedna część była drukowana przed dwoma laty w Gaz. Kośc. jako osobny artykuł[1]), przedstawia się wcale interesująco, — tem większa jej wartość, że jest to rzecz nawskroś aktualna i sumiennie opracowana. — Tom II-gi ma objąć trzy rozdziały (o teatrze i literaturze, jako czynnikach demoralizacji) wraz z ogólnemi refleksjami, dotyczącemi seksualizmu i wnioskami, a nadto Dodatek. Czekamy więc na tom II-gi i po jego ukazaniu się oba tomy razem omówimy.

A. B.

[1]) Por. „G. K.“ z r. 1930, str. 416 nn., art. „Tępienie pornografji“.

Franciszkański Kalendarz Misyjny na rok 1933. Lwów, klasztor OO. Bernardynów. Stron 144, in 8⁰, Cena 1 zł. — Dochód cały przeznaczony na Misje katolickie OO. Bernardynów w Japonji.

Wielką przysługę oddała Redakcja „Dzwonka 3. Zakonu“ (OO. Bernardynów) we Lwowie, sprawie misyjnej w Polsce, wydając Kalendarz Misyjny na rok 1933. Kalendarz ten, winien znaleźć jak najszersze rozpowszechnienie wśród społeczeństwa polskiego. Każdy przyjaciel Misyj Katolickieh, powinien zaznajomić się z jego bogatą treścią, aby mieć przynajmniej ogólne pojęcie o ogromie pracy, dokonanej przez Zakon OO. Bernardynów w Polsce.

O. Czesław Bogdalski, znany i wielce ceniony kaznodzieja, misjonarz i pisarz, kreśli w pięknej formie, krwawe, a tak chwalebne dzieje polskich Misjonarzy franciszkańskich, którzy od czasów św. Jana z Kapistranu — po dzień dzisiejszy, niosą światło wiary i kultury chrześcijańskiej na ziemię pogan.

O. Fidelis Kędzierski, podaje zwięźle statystykę Misjonarzy francuskich (OO. Bernardynów i Reformatów) w krajach pogańskich, która kryje w sobie wielu bohaterów, okolonych aureolą czynów nieśmiertelnych, chlubnych żywotów i błogosławionych skonów.—W drugiej części Kalendarza, znajdzie czytelnik, głęboki w swej treści artykuł ś. p. prof. A. Prochaski, o Świętych Pańskich, a dalej szereg utworów, poświęconych bł. *Janowi z Dukli*, którego jubileusz beatyfikacyjny w przyszłym roku cała nasza Ojczyzna uroczyście obchodzić będzie. W zakończeniu jest rzewna, pełna tkliwej prostoty, sztuczka sceniczna: „*Sieroce serca*“. Sam podział Kalendarza i jego treśc, stanowi jak najlepsze polecenie dla siebie. Dla przyjaciół Misyj Katolickich, zasługuje na szczególniejszą uwagę jako jedna z pierwszych publikacyj polskich z zakresu dziejów misyjnych Zakonu OO. Bernardynów w Polsce i zagranicą.

O. Feliks Herrmann O. F. M.

Zniżka prenumeraty

W związku z obniżeniem cennika drukarskiego i cen papieru **obniżamy też od 1 stycznia 1932 r. prenumeratę do 20 zł. rocznie, t. j. blisko o 20%.**

Kapłanom, będącym w szczególnie trudnych warunkach materjalnych, chętnie zniżymy prenumeratę, jeśli o to poproszą.

Gazeta Kościelna jest jedynym tygodnikiem kapłańskim w Polsce, poruszającym wszelkie zagadnienia duszpasterskie i społeczno-kościelne. Ufamy, że mimo kryzysu, który tak dotkliwie odbił się na materjalnych stosunkach kapłanów, wszyscy P. T. Prenumeratorzy odnowią przedpłatę na rok następny i w ten sposób umożliwią dalsze utrzymanie starej placówki prasowej.

Ponieważ wielu zalega jeszcze z prenumeratą za lata ubiegłe, prosimy o możliwie rychłe jej wyrównanie.

Czeki załączamy. Prosimy zawsze zaznaczać na odwrocie, naco przeznaczone są pieniądze.

Administracja.

Dr. Jan Galicz: Ks. Ignacy Świeży. Jego życie i działalność. Cieszyn 1933 (sic!) Stron 162. (Nakładem „Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra w Cieszynie“).

Odrodzenie narodowe Księstwa Cieszyńskiego jest owocem żmudnej pracy, trwającej lat kilkadziesiąt, najlepszych synów tego kraju, wśród których jednym z najbardziej zasłużonych był X. Ignacy Świeży, urodzony w r. 1839, wyśw. w r. 1865, zmarły w r. 1902. Za niemałą więc zasługę trzeba poczytać p. Galiczowi, że opowiedział jego żywot z takim pietyzmem i w sposób tak zajmujący. X. Świeży musiał przezwyciężyć wielkie trudności, zanim powiodło mu się wywalczyć dla ludności polskiej na Śląsku Cieszyńskim prawa jej należne, więc słusznie szan. Autor wskazuje na niego jako na wzór obywatela i patrjoty. *X. A. P.*

Komunikaty.

RADOŚĆ CHORYM NA GWIAZDKĘ I NA NOWY ROK

1. **Listy miesięczne Apostolstwa Chorych** — wysyłane Drogim Chorym *zupełnie darmo i opłatnie!*

2. Książeczki dla chorych: *Eucharystyczne Nabożeństwo dla chorych* (2 zł). — Rozmowy z chorymi (50 gr.). — Rekolekcje chorych (50 gr.). Te trzy książeczki razem za trzy złote już z przesyłką pocztową. (PKO. 101.408 Warsz.).

Piszcie zaraz po listy dla chorych, zamawiajcie książeczki dla chorych, żądajcie druków propagandowych pod adresem *Apostolstwo Chorych,* Lwów, ul. Fredry 3.

Uwaga! Chorzy należący do Apostolstwa nie płacą żadnych obowiązkowych wkładek, listy miesięczne otrzymują zupełnie darmo!

Chorzy Katolicy — łączcie się!!! Dla chwały Bożej, dla waszej radości, dla dobra Ojczyzny — bądźcie Apostołami! Łączcie się razem w Dziele: Apostolstwo Chorych — Lwów, Fredry 3.

Obrazy jednego ze znanych artystów, malowane ręcznie na płótnie farbą olejną: Św. Stanisława Kostki 75 ctm × 60 ctm., najbardziej zbliżona podobizna Świętego 60 zł., Najśw. Serca P. Jezusa 1 m. 60 ctm. × 80 ctm. po 125 zł., Najśw. Marji Panny z Dzieciątkiem Jezus 1 m. 60 ctm. × 80 ctm. po 150 zł., Św. Teresy od Dzieciątka Jezus 68 ctm. × 50 ctm. po 40 zł., oraz inne, według zamówienia. Wykonane z prawdziwym artyzmem i pietyzmem. Nadają się doskonale do oltarzy, mogą być prawdziwą ozdobą mieszkania kapłana i każdego domu katolickiego; nadają się na cenne i miłe podarki imieninowe, świąteczne, ślubne i t. p. Fotografje obrazów przesyła się na żądanie za zwrotem kosztów.

Komitet budowy kościoła: Kolbuszowa, woj. lwowskie.

Wydawca: Tow. „Bibljoteka Religijna". Odpow. redaktor: X. Dr. Pechnik

Drukarnia Tow. „Bibljoteka Religijna", Lwów, ul. Zygmuntowska 4.